

**The Black Crowes
Before The Frost...
Until The Freeze**

Silver Arrow Records Inc. 2009

Muzyka: ●●●●●
Realizacja: ●●●●○

Pewnie większość wytwórni płytowych walczy z piractwem, ale raczej nie firma, która wydała omawiany album. Płyta kosztuje więcej od innych, co już skłania potencjalnego nabywcę do zastanowienia się, jak w inny sposób dotrzeć do nagrań ulubionej kapeli. A gdy już jakiś fan zdecyduje się wyłożyć prawie 70 zł (zamiast 60 zł, które zapłaciłby za krążek innego wykonawcy), oczekuje równowartości w towarze. Tymczasem dostaje mniej. W opakowaniu jest tylko jeden kompakt, natomiast drugi każdy musi sobie sam zorganizować. Jak? Otóż w obwolucie – zresztą kiepskiej jakości, z której, żeby coś wyczytać, trzeba się zaopatrzyć w lupę – jest karteczka z tajnym hasłem i adresem strony internetowej. Po zalogowaniu można zgrać utwory tworzące drugi album. Potem trzeba wydrukować okładkę, bo w oryginalnym opakowaniu nie ma przegródki na drugi kompakt. Jak wiemy, melomani, a zwłaszcza audiofile, zdecydowanie chętniej wydają pieniądze na sprzęt grający niż na kolorowe drukarki. No cóż... I to wciąż nie koniec, bo należy taką okładkę umiejętnie wyciąć i posklejać, a przecież nie każdy to majsterkowicz. Tymczasem tani „pirat” gdzieś tam czeka i kusi...

Na szczęście powyższe wysiłki się opłacają, bo album rzeczywiście się udał. Rock na luzie, z drive'em, świetnymi wokalnymi harmoniami i garażowym feelingiem. Trochę w stylu „Exile on Main Street” grupy The Rolling Stones. ■

Grzegorz Walenda



**A Fine Frenzy
Bomb in a Birdcage**

Virgin Records 2009

Muzyka: ●●●●○
Realizacja: ●●●○○

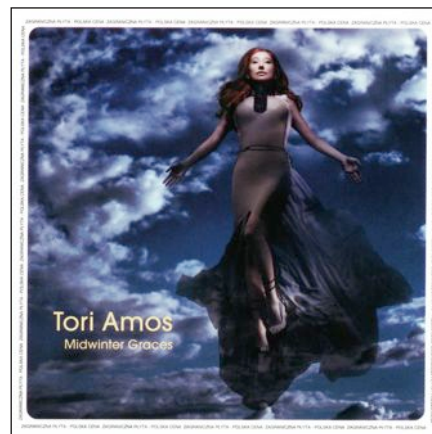
Pod szyldem A Fine Frenzy ukrywa się 24-letnia amerykańska wokalistka i kompozytorka Alison Sudol. To właśnie jej zdjęcie zdobi okładkę. Dwa lata temu nagrała debiutancki album „One Cell in the Sea”, który dotarł do 91. miejsca listy bestsellerów „Billboardu”. Wtedy zauroczyła słuchaczy balladami. Tym razem do swoich melancholijnych kompozycji dodała szczyptę popu.

Jej muzyka stała się bardziej energiczna, ale nie straciła poetyckiego piękna. Płyta zaczyna się nawiązaniem do poprzedniczki; utwór „What I Wouldn't Do” mógłby z powodzeniem pochodzić z debiutanckiej sesji. Akordy akustycznej gitary odzywają się jednak z każdym taktem głośniejsze, aż wreszcie perkusja zaczyna wystukiwać motoryczny rytm.

Kolejne nagranie – „New Heights” – jest jeszcze bardziej dynamiczne. Właściwie dopiero kompozycja „Happier” zwalnia tempo, a zaraz po niej słyszymy liryczny „Swan Song” z fortepianem w roli głównej. Ten drugi utwór zdecydowanie wyróżnia się na tle pozostałych.

Alison Sudol nie tylko popisuje się talentem wokalnym, ale również skomponowała większość piosenek i gra na instrumentach klawiszowych. Repertuar sprawia wrażenie wykonanego na luzie, choć zapewne kryje się za tym sporo pracy włożonej w opracowanie atrakcyjnych aranżacji. Szkoda tylko, że nie zadbano o audiofilską realizację. Mogłoby być jeszcze lepiej. ■

Grzegorz Walenda



**Tori Amos
Midwinter Graces**

Universal Republic 2009

Dystrybucja: Universal Music

Muzyka: ●●●●○
Realizacja: ●●●○○

Tori Amos utalentowaną piosenkarką jest. Tego jej nie można odmówić i zapewne w każdym nurcie artystka sobie poradzi.

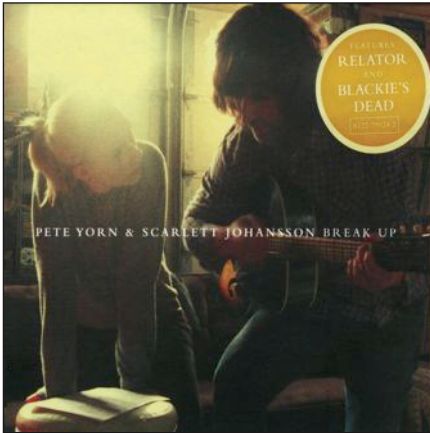
Tym razem wzięła na warsztat repertuar zimowy. Ale nie poprzestała jedynie na świątecznych evergreenach. Dołączyła do nich kilka własnych kompozycji i to jest – poza głosem i instrumentalnym talentem wykonawczyni – główną zaletą omawianej płyty.

Możemy jej słuchać nie tylko przy wigilijnym stole - również kiedy święta jeszcze nie nadeszły, ale za oknami zaczyna już pachnieć mrozem i sypie śnieg. Do tego wykonania są przeurocze, więc na pewno nie będzie to strata czasu.

Z twórczością Tori Amos zetknąłem się po raz pierwszy długo po jej początkowych sukcesach. Był to jakiś koncert wydany na DVD. Odtąd z przyjemnością witam każdy jej nowy album.

„Midwinter Graces” należy do pozycji okolicznościowych, wydawanych w czasie, kiedy wszyscy są tak oszłomieni świątecznymi zakupami, że nabyliby prawdopodobnie wszystko, na co pozwoliłaby im zawartość portfela. Jednak mimo że płyta ukazuje się akurat przed Bożym Narodzeniem, nie schodzi poniżej pewnego poziomu. Dlatego może być śmiało uznawana za prezent na cały rok, o ile oczywiście słuchaczom nie przeszkadza, żeby słodkich melodyjek o śniegu słuchać przy basenie lub na plaży. ■

Grzegorz Walenda



Pete Yorn i Scarlett Johansson Break Up

Boyletown Music, Inc. 2009

Dystrybucja: Warner Music

Muzyka: ●●●○○

Realizacja: ●●●○○

Recenzując poprzednią płytę Scarlett Johansson, sugerowałem, że powinna się raczej skoncentrować na karierze filmowej, a mikrofon zostawić innym. Widocznie nie przeczytała mojej opinii, bo niedawno powróciła do studia, aby zarejestrować materiał na omawianą płytę.

Tym razem towarzyszy wokaliście i kompozytorowi Pete'owi Yornowi. Płytę wyróżnia – niestety in minus – to, że jest rekordowo krótka. Dziesięć nagrań trwa zaledwie 29 minut.

Część z nich zapowiada się zupełnie dobrze. W otwierającym „Relator” Johansson brzmi trochę jak Bessie Smith. Z kolei w „I Don't Know What To Do” ona i Yorn tworzą duet, nawiązujący do czasów współpracy Lee Hazlewooda i Nancy Sinatry czy – jak kto woli – Serge'a Gainsbourga i Brigitte Bardot. Może się też podobać „I Am The Cosmos”, gdzie oboje wokaliści śpiewają równocześnie.

Jednak mimo tych kilku lepszych momentów całość nie porywa. Niemal wszystkie utwory brzmią, jakby były niedokończone. Aż się prosi, żeby je dopeścić, rozwinąć. Poza tym albumowi pomogłoby podwojenie ilości nagrań, tym bardziej, że te, które są, nie grzeszą długością.

W sumie mogłaby być z tego dobra płyta, zwłaszcza że repertuar oryginalny, muzycy sprawni, a Scarlett Johansson rozwinęła swoje umiejętności wokalne. Ale nie do końca wyszło. ■

Grzegorz Walenda



Borys Szyca Feelin' Good!

EMI Music Poland

Muzyka: ●●○○○

Realizacja: ●●●○○

Borys Szyca ostatnio nie narzeka na brak ofert angażu ani dowodów uznania. Gdy zaś artysta przeżywa tak korzystny okres w swej karierze, czasem pozwala sobie na fanaberie. Fonograficzny debiut Szyca da się interpretować właśnie w takim kontekście – kaprysu gwiazdy show-biznesu.

„Feelin' Good!” to 10 funkująco-popowych piosenek: coverów, jak i kompozycji napisanych przez towarzyszących aktorowi muzyków. Szyca nie chwytą za pióro, partyturę ani żaden instrument i koncentruje się na roli wokalisty. Problem w tym, że wokalistą, najogólniej ujmując, nie jest.

Zamieszczone na płycie aranżacje przebojów nie są szczególnie interesujące, choć instrumentalisci, tacy jak Grzech Piotrowski, przemycają do muzyki próbki swoich talentów.

Teksty są banalne, a frazy w rodzaju: „chemia między nami/w sercu mam dynamit” to sztampowe popowe koszmaki. Kobięce chórki i gościnne wokale brzmią jak w tysiącu innych nagrań.

Największym mankamentem przedsięwzięcia pozostaje jednak wokal Szyca. Czy śpiewa łagodnie, czy zadziornie - nie wychodzi ponad poziom średniozaawansowanego uczestnika wieczorów karaoke.

Najlepszą piosenką na „Feelin' Good!” jest, wydana dwa lata temu, „Choć wieje, pada, grzmi”. Ten mocny akcent, paradoksalnie, obnaża jednak słabość płyty. Śpiewająca tutaj Justyna Steczkowska tylko uwydatnia, jak bardzo nijakie są pozostałe występujące tu wokalistki i jak daleki od profesjonalizmu pozostaje sam Szyca. ■

Bartosz Szurik



Kucz/Kulka Sleepwalk

Jazzboy Records

Muzyka: ●●●●●

Realizacja: ●●●●○

„Sleepwalk” to efekt spotkania dwóch niezwykle ciekawych osobowości: doświadczonego producenta muzyki elektronicznej – Konrada Kucza – oraz młodej kompozytorki, wokalistki i pianistki – Gabrieli Kulki.

Zestawienia tak mocnych charakterów czasem się nie udają. Ale bywa, że dochodzi do muzycznej synergii i powstaje wartość większa, niż wynikałoby to z prostego zsumowania tworzących ją składników. Tak jest w przypadku zjawiskowej płyty „Sleepwalk”.

Zbudowane na eleganckiej elektronice Kucza piosenki utrzymano raczej w spokojnych tempach, niekiedy z odchyłką w stronę dynamiczniejszych, swingujących kompozycji czy psychodelicznych kolaży. Gaba, do czego już nas przyzwyczaiła, eksperymentuje i bawi się głosem tak, że sama jedna brzmi jak zespół wokalny. To urzeka zmysłowością, to hipnotyzuje ekspresją, to znów zapuszcza się w stylistykę wodewilu.

Wodewil nie jest zresztą przypadkowym skojarzeniem. Album został okraszony brzmieniami retro – muzyka sączy się niczym ze starego odbiornika radiowego lub trzeszczącego gramofonu, tworząc iście magiczną atmosferę. To właśnie ta nastrojowość spaja 12 utworów i porywa słuchacza na całe 40 minut.

„Sleepwalk” to znakomita propozycja dla wielbicieli jazzującego elektronicznego popu, brzmień retro...

Leniwych kawiarenek. Sentymentalnych spacerów. Koników na biegunach. Dla fanów Kucza. Dla fanów Kulki. ■

Bartosz Szurik



Anita Lipnicka Hard Land of Wonder

EMI 2009

Muzyka: ●●●●○
Realizacja: ●●●●○

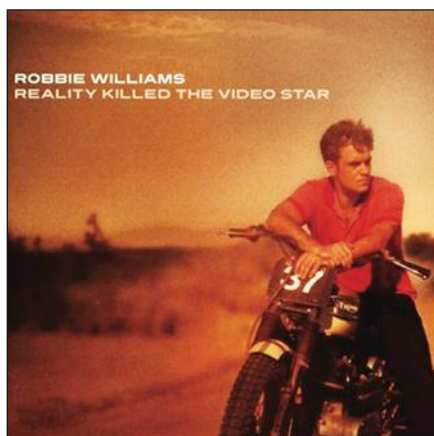
Nigdy specjalnie nie przepadałem za twórczością Anity Lipnickiej. Stylistyka jej dotychczasowych dokonań wybitnie nie przypadła mi do gustu, dlatego zabierałem się do odsłuchu najnowszego albumu jak pies do jeża i z zapałem godnym zblazowanych uczestników niedyjszych czynów społecznych.

Po przesłuchaniu krótkiego fragmentu pierwszej kompozycji („Car Door”) wyłączyłem odtwarzacz w przekonaniu, że pomyliłem płyty. Pomyłki jednak nie było, a reakcją na kolejne utwory były uniesione brwi i rosnące zdumienie. Autorskie kompozycje Anity brzmiały zaskakująco dobrze.

Do pracy nad omawianym materiałem zaprosiła międzynarodowe grono znakomitych muzyków, a efekt twórczego znoju zespołu realizatorskiego jest wart uznania. „Hard Land of Wonder” to muzyka pełna surowej łagodności. Liryczne opowiadania wrażliwej kobiety, nasycone bogactwem muzycznej wyobraźni są nieskomplikowane i zrozumiałe dla każdego, a jednocześnie pozbawione wtórności czy trywialności. Wykonanie angielskich tekstów piosenek pozostaje wolne od typowego dla polskich wokalistek słowiańskiego świergotu, a całość tworzy ciekawy klimat, dyskretnie podkreślony prościutkim brzmieniem fortepianu i charakterystycznym ciepłym wokalem.

Wszystko wskazuje na to, że powinienem zacząć po cichutku odszczekiwać swoje wątpliwości co do talentu Anity Lipnickiej. ■

Miroslaw Szymański



Robbie Williams Reality Killed The Video Star

Pomaton EMI

Muzyka: ●●●○○
Realizacja: ●●●○○

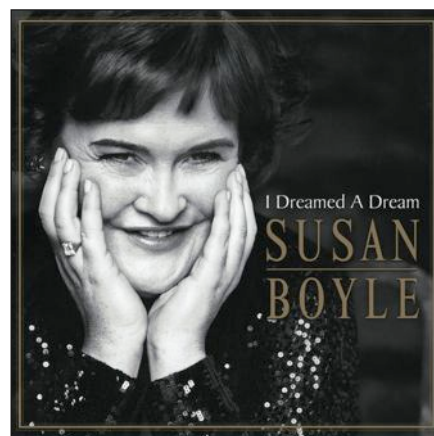
Płyta „Reality Killed The Video Star” miała udowodnić, że tytułu gwiazdora popu nie zdobywa się przez przypadek i że Robbie Williams wciąż ma „to coś”. Niestety, dowodzi raczej tego, że Brytyczycy nie starzeje się niczym dobre wino albo że nie ma pomysłu, kim chciałby zostać na dzisiejszej scenie pop.

Wiele kompozycji po prostu nie zapada w pamięć. Wokalista znowu sięga po elektro-pop rodem ze średniawego albumu „Rudebox” („Starstruck” i „Difficult For Weirdos”) i prezentuje kolejne ballady („Blasphemy”, „Superblind”), ale trudno w tym znaleźć cokolwiek ciekawego.

Dla kontrastu, świetnie wypada singiel „Bodies” – istny popowy „killer” z przebojowym refrenem w stylu dawnych hitów Williama, chwytliwymi chórkami oraz rozkręcającą się melodią, wzbogacaną kolejnymi partiami instrumentów, w tym obowiązkowych smyczków. Sympatyczny okazuje się też cover Françoise Hardy, w wersji Robbiego nazwany „You Know Me” – kolejny przejaw jego miłości do muzyki lat 50. i 60. Wyróżnić można także głupawą, ale radosną i wpadającą w ucho piosenkę „Do You Mind” oraz stanowiący kłamrę płyty, lekko refleksyjny utwór „Morning Sun”. Katastrofy więc nie ma, ale jak na postać tego formatu to trochę mało.

Williams to wciąż najlepsze, co przyniosła światu epoka boys bandów. „Reality Killed The Video Star” trudno jednak uznać za najlepszy album w jego karierze. ■

Bartosz Szurik



Susan Boyle I Dreamed A Dream

Sony Music 2009

Muzyka: ●●○○○
Realizacja: ●●○○○

Uczestnicy telewizyjnych programów poszukujących talentów mają jeden cel: zadziwić świat i zrealizować marzenie o przemianie Kopciuszka w królową. Jak za dotknięciem różdżki przelecieć znad dymiących garnków wprost na czerwony dywan. Upajać się błyskami fleszy, tabunami wielbicieli, wytworną garderobą i przednimi trunkami. Aby to osiągnąć, jedni jeżdżą rowerem po linie z małpą na głowie, a inni, jak Susan Boyle, pięknie śpiewają. Występem w „Britain’s Got Talent” gospodyni domowa ze szkockiej wioski oczarowała widzów, czego efektem było ponad 300 milionów odsłon w serwisie „YouTube”.

Spece od pomnażania grosza zwiertzyli interes. Zgodnie z zasadą „dla każdego coś miłego” sklecono repertuar „od Sasa do Lasa” – od Jaggera przez Madonnę, aż po „Cichą noc”. Patetyczne orkiestrowe aranżacje, doprawione anielskimi chórami, brzmią bardziej efekciarsko niż efektownie. Głos Susan, chociaż przyjemny dla ucha, trochę irytuje manierycznym wibratem, które jest tyle wyrazem muzycznej ekspresji, co sprytnym zabiegiem podkreślającym możliwości wokalne.

Susan Boyle to niewątpliwie duży talent. „Cry Me A River” zaśpiewała zjawiskowo. Poczekajmy jednak na kolejną płytę. Wtedy porozmawiamy poważnie, bo na razie nie o muzykę chodzi. „I Dreamed A Dream” to kawałek spełnionych marzeń, opakowany w błyszczący celofan. ■

Miroslaw Szymański